OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 17 (29) Maja 1867 roku.

Nr 22. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

KANAŁ SUEZKI.

(*Dokończenie.*—Patrz Nr. 21).

„Już w Suezie samym roboty są wspaniałe. Odnoga morza Czerwonego jest tam bardzo płytką, musiano więc kopać dla kanału długi kawał łożyska w samem morzu. Gdzie niegdyś była głęboka woda, wznoszą się dziś ogromne budowy nadbrzeżne; gdzie przed niedawnym jeszcze czasem można było dopłynąć parowcem, teraz jest ląd stały i stoją już domy, mieszkania robotników, a wkrótce wzniosą się warsztaty, magazyny i inne gmachy. Już dzisiaj pracą ludzką utworzona wyspa, łączy się koleją żelazną długą około pół mili z miastem, a wkrótce okręta które jeszcze daleko od miasta przystawać muszą, będą tu mogły przybijać.

Dowiedziałem się z przyjemnością, że inżynierem kierującym i wykonywającym tę część robót jest mój ziomek p. Junker i wszyscy jego robotnicy pochodzą z krain berłu Austryjackiemu podległych. To też usłyszeć tam można, nie bez pewnego w pierwszej chwili zdziwienia, rozmowy o sporach z koroną Węgierską, sejmach różnych krajów i radzie państwa, o Translitawji i Cislitawji, o panu Beuście i innych mężach wpływających na losy Austrji.



Ferdynand Lesseps, (Rysunek i drzeworyt Kuczyńskiego).

Z powodu sąsiedztwa morza i kolei żelaznej, zaopatrzenie robotników w potrzeby do życia i narzędzia, oraz sprowadzanie machin było tu stosunkowo daleko łatwiejszem, niż w dalszych częściach wiele mil długiego kanału. Na północy leżą gorzkie jeziora, z których jako też z portu Said można było mieć wodę i przy jej pomocy pracę ręczną choć w części pracą mechaniczną zastępować. Kanał od portu Said aż do Ismaila jest już żeglowny, jakkolwiek jeszcze nie dla okrętów największego rozmiaru. Na południe od Ismaila zaczyna się pustynia dziesięć mil długa, na której ani kropli słodkiej wody, ani źdźbła trawy znaleść niepodobna. Tutaj też przedstawiały się największe trudności, tej niezmiernie trudnej w całym swym przebiegu pracy.

„W początkach robót gdy wice-król Egiptu dawał do roboty nad przekopem sześćdziesiąt tysięcy fellachów, których towarzystwo we wszystko zaopatrywało i żywiło, trzeba było cały czas poświęcić na wykopanie kanału wód słodkich; kanał ten wychodząc od Nilu, którego wodą jest zaopatrywany, dochodził aż pod Ismaila, później zwraca się na południe i ciągnie się aż do Suezu. Fallachowie są wstrzemięźliwi i przywykli do znoszenia gorąca, ich więc tylko rękoma można było dokonać tej pracy, którą rozpoczęto od wykopania na całej linji nie wielkiego ścieku, aby na każdym punkcie mieć wodę do picia.

„Z następstwem czasu praca około kanału napotkała na niezmierne trudności, wice-król bowiem odmówił robotników, zasłaniając się zniesieniem w swojem państwie przymusowej pracy. W długim sporze jaki ztąd powstał pomiędzy rządem wice-króla a towarzystwem kanału suezkiego, roboty nie raz doznawały przerwy i los całego przedsiewzięcia był narażonym. W końcu zdano się na sąd polubowny i cesarz Napoleon wybrany na super-arbitra oznaczył w r. 1864 wysokość wynagrodzenia, jaki rząd egipski wypłacić ma kompanji za odebraną robociznę i poniesione przez to straty.

„Powód jaki podał król Egiptu do odmówienia robocizny Towarzystwa kanału Suezkiego, był raczej pozornym niż rzeczywistym. W głębi tej sprawy leżały intrygi i zawiści polityczne, a samo zniesienie przymusowej bezpłatnej robocizny w państwie wice-króla, jest reformą na papierze tylko istniejącą. Nic to nie przeszkadza wice-królowi tysiącami fellahów używać do uprawy pól własnych, a w całym kraju kto tylko jest przyjacielem jakiego paszy, może się niekłopotać gdy mu dwóch albo trzechset robotników potrzeba. Ci biedacy muszą pracując darmo sami się żywić i zaopatrywać we wszystko, gdy Towarzystwo budowy kanału wszystkie ich potrzeby brało na siebie. Nieraz setkami pakują ich na okręta, gdzie ledwie dosyć miejsca mają aby usiąść, wiozą ich daleko, każą krwawo pracować, a ci nieszczęśliwi cieszyć się jeszcze muszą, jeśli ich nazad do domu odstawią. Tego rodzaju postępowania częścią sam byłem świadkiem, a częścią o niem słyszałem od najwiarogodniejszych osób.

„Kanał słodkiej wody żeglownym jest dla tak zwanych *dahabi* to jest bark, na których pokładzie znajdują się kajuty, a że pod Ismaila połączony jest za pomocą szluz z kanałem wody morskiej, po którym kursują małe parowce, jest więc już teraz urządzoną regularna pocztowa wodna komunikacya, dla listów i osób pomiędzy portem Said i Suezem.

„Wzdłuż kanału pozakładano miasta i wioski, po większej części przez robotników pracujących nad jego wykopaniem zamieszkałe. Jedną z takich osad zwaną Chaluf, leżącą o półtrzeciej mili na północ od Suezu zwiedziłem. Chaluf liczy trzy tysiące mieszkańców, ma pięknie urządzony szpital o 50 łóżkach, wyborny hotel mogący przynieść zaszczyt niejednemu z małych miast europejskich, odznaczający się czystością i schludnością.

„Robotnikom pracującym nad przekopaniem kanału, przedstawiały się w tem miejscu wielkie trudności. Nieco wyniesiony grunt jest kamienisty, to też cały kanał w całej swojej długości i szerokości w tem miejscu ręcznie wykopywanym być musiał pod afrykańskiem słońcem, które dla europejskich robotników nie małej wagi jest przeszkodą.

„Wydobytą ziemię kładziono na kary umieszczone na szynach i ciągnione są przez muły, po czem po pochyłej równinie łańcuchami ciągnęły je lokomobile. Dziś ziemia wydobyta z łożyska kanału, leży jak rodzaj grobel po obu jego stronach. W innych miejscach gdzie grunt więcej sprzyjał i próby robione świdrem w znacznej nawet głębokości nie napotykały oporu, nie kopano całego kanału, lecz tylko do takiej głębi, żeby go z kanału wód słodkich wodą zaopatrzyć było można, a później olbrzymiemi umyślnie do tego zastósowanemi maszynami dokonywano pogłębienia.

„Na przestrzeni którą przebiegłem, miałem sposobność widzieć wszystkie roboty około kanału, a raczej jedną wielką pracę we wszystkich stadjach przez jakie przechodzić musi, od pierwszego wetknięcia rydla w ziemię do niwelacji sztucznie utworzonego gruntu, od pierwszej próby świdra, aż do wpuszczenia wody słodkiej w część kanału. Ponieważ jednak wszystko to co ręką ludzką dokonać można jest już prawie zupełnie dokonane, przeto uzupełnienie kanału zostaje teraz tylko, jak sam Lesseps powiada: *une question de charbon*, kwestją węgla.

„Z Suezu przedsięwzięliśmy wycieczkę na azjatycką stronę odnogi, do tak zwanych źródeł Mojżesza. Jest to oaza mająca paręset drzew, wydających daktyle i granaty i stojących około kilka studni. Jedyna to zieloność na wiele mil do okoła. Niektórzy z mieszkańców Suezu mają tu swoje letnie domy, to jest właściwie baraki. Miejsce to jest interesujące z dwóch względów: daje ono dokładne wyobrażenie o tem czem są oazy na pustyniach, a pamiętnem jest w dziejach wybranego ludu, tu bowiem Izraelici pierwszą noc po przejściu morza Czerwonego przepędzili.”

Do powyższego opisu obecnego stanu robót około przekopania kanału suezkiego, nic wiele dodać potrzebujemy. Byłoby zbytecznem i przechodzącem ramy pisma naszego, rozpisywać się szeroko o korzyściach jakie kanał suezki handlowi świata i idącej za nim w ślady cywilizacji przyniesie. Dość spojrzeć na mappę, dość przypomnieć sobie jak tanią i wygodną jest udoskonalona w naszem stuleciu komunikacja wodna, jak z drugiej strony wielkie są stosunki handlowe naszej części świata z krajami południowej Azyj, ażeby zrozumieć jakiej ważności dziełem jest połączenie morza Śródziemnego z Czerwonem, kanałem dla największych okrętów dostępnym. Połączenie to skraca niesłychanie drogę morską do Indji i wszystkich krain południowej Azji, drogę, którą dotąd odbywać było potrzeba okrążając całą część świata, Afrykę.

To też ze względu na szczególną ważność tej drogi handlowej dziwić by się należało, gdyby myśl przekopania międzymorza Suez za naszych dopiero powstała czasów. Tak przecież nie jest. Ślady pozostałe z głębokiej starożytności z owych czasów kiedy Egipt był wcale czem innem jak jest teraz, świadczą, że nad takim przekopem pracowano już poprzednio, a mianowicie za panowania króla Egiptu Nechao, którego Pismo Święte wspomina jako zwycięzcę Jozjasza króla Judei (w r. 609 przed nar. Chrystusa), oraz za czasów Ptolomeusza Filadelfa, który panował w Egipcie od 285 do 247 roku przed naszą erą. Dziś więc dokonywa się dzieło zaczęte przed dwudziestoma pięcioma wiekami.

W naszych czasach myśl przekopania międzymorza podniesioną została już w roku 1816, lecz dopiero w czterdzieści kilka lat później przystąpić można było do robót, dzięki wytrwałości i energji Lessepsa, którego krótkim rysem biograficznym zakończymy nasz pobieżny artykuł.

Ferdynad Lesseps urodził się w r. 1805 w Wersalu, liczy więc dzisiaj lat 62. Ojciec jego Jan Bartłomiej baron Lesseps był urzędnikiem w ministerstwie spraw zagranicznych i piastował urzęda konsularne w Rosji. Znanym jest także jako podróżnik, odbył bowiem podróż na Kamczatkę i wydał drukowany jej opis w Paryżu 1790 roku. Syna swego poświęcił tej samej karjerze. Mając lat 20, Ferdynand Leseps był urzędnikiem (attaché) francuzkiego jeneralnego konsulatu w Lizbonie. Później w latach 1827 i 1828 pracował w wydziale handlowym fr. ministerstwa spr. zagranicznych. W tym ostatnim roku odbył pierwszą podróż do Afryki, gdzie został konsulem jeneralnym. W roku 1831 wysłanym został do Egiptu, który później miał się stać wyłącznie jego działalności ogniskiem. Bawił tam dosyć długo, miał sposobność poznać dokładnie kraj i stosunki miejscowe, kilka razy nawet pełnił zastępcze obowiązki konsula francuzkiego w Aleksandrji. Po-

źniej przeniesiony jako konsul do Rotterdamu, następnie do Malagi, dopiero w roku 1839 osiadł na dłużej w Hiszpanji jako konsul w Barcelonie. W r. 1851 działał tam czynnie przeciw regentowi Esparterze.

W Sierpniu 1844 r. powtórnie wysłany został do Egiptu na skutek wieści o abdykacji Mechmeda Alego w misji dyplomatycznej, zkąd znowu wrócił do Barcelony, gdzie zajmował poprzednie stanowisko aż do rewolucji Lutowej 1848 r.

W Kwietniu 1848 r. mianowany został pełnomocnym ministrem rzeczypospolitej francuzkiej w Madrycie, w następnym zaś roku powrócił do Paryża, gdzie wkrótce powierzoną mu została misja do Rzymu, bardzo rozgłośna w swoim czasie, mająca na celu skłonić tryumwirat rządzący wówczas wiecznem miastem do zawieszenia broni.

W r. 1854 zaczął rozwijać działalność około przekopu międzymorza. Jako członek Towarzystwa studjów nad kanałem Suezkim, wysłany został do Egiptu aby traktować o ten przekop. Misja ta powiodła mu się u rządu wice-króla, udał się więc natychmiast do Konstantynopola, gdzie uzyskał przywilej na dokonanie tego dzieła i zawiązania w tym celu towarzystwa akcyjnego.

W następnym roku Lesseps zwołał w Paryżu zjazd najznakomitszych inżynierów angielskich, francuzkich, niemieckich, holenderskich i włoskich, celem roztrząśnięcia planów olbrzymiego przedsięwzięcia, a w 1856 zawiązujące się towarzystwo powierzyło mu naczelny kierunek robót, do rozpoczęcia których niepodobna było jednak zaraz przystąpić, z powodu przeszkód dyplomatycznych stawianych przez Anglją.

Niezrażony trudnościami kierownik wielkiego dzieła, w Styczniu 1858 roku ogłosił subskrybcją na akcje. Fundusze zebrały się ogromne, zaledwie jednak dostateczne do wykonania przedsięwzięcia połączonego z tylą trudnościami. Francja sama złożyła na kanał Suezki 200 miljonów franków, to jest 50 miljonów rubli.

W Styczniu 1859 r. Lesseps udał się do Egiptu, położył kamień węgielny latarni morskiej i ogłosił otwarcie robót. Zaraz jednak w początku przerwać musiał, aż do wydania firmanu przez wice-króla, które nie obeszło się bez trudności.

Z jakiemi trudnościami miał do walczenia i o ile je zwalczył w ciągu lat ośmiu, a zatem w czasie stosunkowo bardzo krótkim, o tem już powyżej mówiliśmy.

Wołody Skiba.

PRZEMYTNICY.

(*Ciąg dalszy.* — Patrz Nr. 20 i 21).

Była Wigilja Bożego Narodzenia, stare kawalerstwo wypędzało mnie na ów dzień z domu; miałem poczciwe sąsiedztwo, państwo Stolarscy mieszkali o kwadrans drogi od X., Bóg im błogosławił, dziatwa się chowała, dobytek rósł z każdym rokiem, a i na przyjaciołach poczciwym nie zbywało ludziom: córka najstarsza wykapany portret matki, jej imienniczka 16-to-letnia Teresia, była moją ukochaną, w dzieciństwie niańczyłem ją, nieraz doglądałem w chorobie, potem z dorostającą wiodłem długie gawędy o historji i literaturze, a teraz kiedy już panną była skończoną, posuwisto po staroświecku prawiłem grzeczności, i doprawdy żeśmy się kochali z Teresią ale tą miłością, która nie boli, nie drażni — dodaje ciepła zachodzącemu wstarość życiu i to wszystko na złość p. Dominice nauczycielce mojej nowej bohdanki, która pałała ku mnie strzelistym afektem. Już to pod tym względem nie bardzo mi szło pomyślnie, choćby naprzykład panna Dominika! gdybyśmy się z nią wcześnie spotkali, tak 30 lat temu, kto wie możeby ród Pirożków nie zaginął, ale dzisiaj aczkolwiek pochlebiała mi miłość czcigodnej dziewicy choćby już z tego względu, że serce jej oblegane przez pięćdziesiąt lat przeszło pozostało niezwyciężonem, i dopiero w cokolwiek spóźnionej dobie bić zaczęło poraz pierwszy dla mnie, dla mnie wyłącznie i pewnie już biło poraz ostatni, chociaż p. Dominika umiała przyrządzać cudowne tyzanny na pewne defekta, chociaż skromność jej dotyla była posuniętą, że uważała za największą nieprzyzwoitość o niestrawności mówić z lekarzem — wszelako oceniając wszystkie wyżej poszczególnione zalety, nie miałem odwagi zaprosić ją do wspólnego życia; wyznam szczerze że boję się w ogóle owych niezwyciężonych przez lat wiele warowni, czuję bowiem że ogrom tryumfu mógłby mnie przywalić swoim ciężarem, a ja pragnę ciszy, pragnę niepostrzeżenie i bez rozgłosu przejść moją drogę, co mi się poniekąd udaje (wszak nie słyszeliście nigdy o żadnym Pirożku mili czytelnicy), więc czyż miałem odgłosem zwycięstwa zadawać kłam zasadzie kierującej mojemi krokami w tej doczesnej wędrówce; dla tej więc przyczyny wybrałem za przedmiot jesiennych uniesień młodę Teresię z prawem ustąpienia jej pierwszemu, posiadającemu potrzebne kwalifikacje, to jest młodość, serce i wykształcenie, a tymczasem nadskakiwałem panience.... było to trochę śmieszne, ale zkąd inąd przyjemne. — Teresia przypominała mi dawno przebytą młodość...

Otóż wybierałem się do państwa Stolarskich, Wigilja tą razą przypadała w Sobotę; była godzina 2 po południu, gdy posłaniec z O. zawezwał mnie do bardzo chorego żydka, o dwie milki nie wielkie, na szóstę więc pomyślałem sobie, potrafię wrócić, wreszcie żydek obarczony liczną rodziną, choroba niebezpieczna, nie było więc czasu do stracenia: stary Kociołkowski zajechał, siadłem do bryczki zaprzężonej własnemi końmi, bom ztamtąd już prosto do państwa Stolarskich miał powrócić. Z X. do O. jechało się równym stepem, na połowie drogi stała karczemka brudna, mała, odarta, nieciesząca się wcale dobrą reputacją, zwykle się jednak przy niej zatrzymałem by dać koniom wytchnienie. Jakoś w tym czasie dość często bywałem w O., że zaś dnie były słotne, droga ciężka, więc dłużej koło karczmy wypadało przystawać, i to mnie dziwiło, że za każdą w niej bytnością coraz innych zastawałem gospodarzy, wszystko twarze podejrzane, ale za to kompanja bawiła się dość wesoło, jadła bowiem pełne stały misy, a butelki z trunkiem wcale wdzięczną odznaczały się powierzchownością. Dziś jadąc do O. nie zatrzymałem się jak zwykle przy karczemce, spieszno mi było, a i zawiej śniegowa z początku nieznaczna, zwiększająca się coraz bardziej, niepokoić mnie zaczęła. Do O. zajechałem szczęśliwie, zrobiłem swoje, ale powrót do domu trwożył mnie niepomału, a przyznam żem jeszcze więcej się zaniepokoił po rozmowie z Moszkiem...

— Przepraszam, że nie zrzucam futra, rzekłem wchodząc do niego, ale dzisiaj ledwie chwilkę wam poświęcić mogę, spieszę bowiem z powrotem.

— No, kto widział w taki czas jechać, zbłądzić można.

— Jakoś się dobiję — toż dopiero czwarta godzina.

— Ale już teraz dwa razy więcej śniegu upadło.

— Nie mogę zostać p. Moszku, pojadę.

— Lepiej do świec poczekajcie, dam moich chłopców jak szabas odejdzie.

— Nie mogę — bo o 6-tej czekać będą na mnie państwo Stolarscy.

— Gdyby żona własna albo dzieci, to jeszcze nie mówię, ale dla obcych ludzi narażać się nie wypada. Ja tu swego interesu nie mam a pańskie bezpieczeństwo, pan dobrze ludziom robi, to i Moszko panu dobrze radzi.

— Dziękuję — jednak czekać nie mogę.

Żyd się aż poskrobał w głowę, odprowadził mnie w tył i półgłosem dodał:

— Na trakcie do X. Rula-Gabryelho, nie radziłbym się panu z nim spotkać.

Argument był godny zastanowienia, Gabryelho znakomity łotr przed dwoma miesięcami uciekł z więzienia i już wiele w ciągu tego czasu nabroił, bo i zbrodni kilka i kradzieży zuchwałych co nie miara. Ale gdzieżbym go miał spotkać, step równy leżał na mojej drodze, a pod osłoną zawieruchy byłem bezpieczniejszy, w taki czas i rzezimieszek szuka dachu; trwoga więc chwilowa ustąpiła miejsca stałemu postanowieniu, pożegnałem grzecznie Moszka, dziękując mu za przestrogę; wychodzę przed domostwo, Kociołkowski skulony siedzi na koźle.

— A co Kasprze—pojedziemy?

— Jeżeli *wedle rozkazania*—to pojedziemy; — i to było nieszczególnie zachęcającym do podróży znakiem; p. Kacper tem orzeczeniem, wyrzekał się wszelkiej odpowiedzialności z następstwa, w przeciwnym bowiem razie, kiedy był pewny siebie, mawiał zwykle: a pojedziemy przy pomocy Boskiej.

Miasteczko leżało w dole okolone zewsząd pagórkami, burza więc nie tyle w niem się czuć dawała, aż kiedyśmy na step wyjechali, dopiero całą jej potęgę poznałem; kłęby śniegu zasłaniały świat przedemną, wiatr wył przeraźliwie tym piskiem, w którym to i płacz i jęk i skarga się przebija, konie biedne ledwie stępo iść mogły, z kolei bowiem to brnęły w ogromnych zaspach śniegowych, to znowu ślizgały się po ziemi zamarzniętej i mającej szklistej powierzchni wejrzenie...

Schowałem nos w kołnierz od futra, oczy zamknąłem, nie chciałem na świat patrzeć tak mi się on smutnym wydawał,—i doświadczyłem tego, czego z was każdy w podobnych warunkach doświadczył: minuty przybierały rozmiar ogromny, co chwila prawie otwierałem oczy by zbadać przestrzeń przebytą,—choć nie miałem pod ręką skali według której mógłbym zmierzyć kawałek drogi już za mną będącej, czas bowiem jest tu złym przewodnikiem, daje rachunek omylny, godzina wiekiem być się zdaje... I smutno mi było sam niewiem dla czego? tóż przecie w ciągu 20-letniej praktyki lekarskiej, wiecznie na wózku niejednokrotnie użyłem wcale niemiłej podróży i przerazilibyście się gdybym wam podał statystykę osi złamanych, przewróconych powozów, w których dążyłem do moich pacjentów, liczbę nocy bezsennych, mil ujechanych i to w niewielkim promieniu, jak w deptaku kręciłem się nieustannie... przerazilibyście się powiadam raz jeszcze... i nigdy mi smutno nie było, broniłem się bowiem tęsknocie powołaniem mojem, obowiązkami lekarza i t. d. i t. d. A i dziś używałem podobnych argumentów, ale nie skutkowały one wcale, myśl o Gabryelhu świdrowała pod czaszką, przeklinałem żyda za przestrogę, choć z drugiej strony przypuszczać się godziło że i ów zbój znakomity musiał obchodzić wigilją, a choćby jej nie obchodził, toć przecie burza zagnała go pod strzechę,



Połów łososi, (str. 174—[illegible]).

a jeśli kto strzechy tej nie ma nad sobą, powtarzał mi głos wewnętrzny...

Po raz już może setny wysunąłem głowę z za futrzanego kołnierza, dobrze ciemno było na dworze, wtem mrugnęło parę światełek wśród zamieci, przypatruję się lepiej—karczemka, światło z okien jéj biło dość jasno, jeszcze okropniej wyglądała ta chłupa śród burzy, czarne odrapane jej boki ponuro odbijały od białych śniegowych kłębów.

— Wszak to karczemka Kasprze?

— A tak.

— Pojedziemy dalej?

— Wedle rozkazania —znowu była odpowiedź, wio, wio kary!...

I ominęliśmy jedyną przystań zbawienia będącą na naszej drodze, miałem przynajmniej tę pociechę, żem dotąd nie błądził, trakt jednak od karczmy do X. był niebezpieczniejszy już z tego względu, że pozbawiony wszelkich znaków, któremi by się można kierować: nie było tu ani jednego krzyża, ani jednego drzewa, ani jednego nawet krzaku większego, co to w owych chwilach zawiei choć za niepewną służą skazówkę... Jedziemy tedy...jak długo trwała podróż, nie umiałem oznaczyć, z początku ułożyliśmy się, by spuścić się na instykt koni, potem zdawało się nam że konie zeszły z drogi, ja przypuszczałem że trzeba jechać więcej na prawo, Kociołkowski że na lewo; dogadzając więc sobie wzajemnie jechaliśmy jakie pół godziny skręciwszy na prawo, a potem drugie tyle na lewo, w końcu znowu koniom wolno lica puścić należało, i otóż chwała Bogu mignęły nam dwa światełka— zbliżamy się do nich —karczemka na stepie; straciliśmy dużo czasu, przybyło znużenia, koniska ledwie szły grzęznąc w śniegu, a jednak po krótkiej naradzie obydwa nie chcieliśmy tu szukać schronienia... więc znowu w podróż, zawieja nie ustawała, drogi ani śladu, po dwugodzinnych usiłowaniach, poraz wtóry oparliśmy się pod karczemką na stepie...

— Widać sądzono nam tutaj nocować, odezwał się Kociołkowski.

— Nie ma rady, w brudnej karczmie przepędziemy wigilję, odpowiedziałem, wyłażąc z bryczki i zakołatałem do bramy.

Po długiej chwili niespokojnego oczekiwania, przemówił głos kobiecy z podsienia.

— A kogo tam djabeł nosi o tej porze,—czego chcecie?

— Czy djabeł nosi, tego nie wiem szanowna niewiasto, wiem tylko o tem że nosi doktora z X..., wracam od chorego, zbłądziłem, proszę więc was o przytułek dobra kobieto.

— Przytułek zamruczała gniewnie, nie ma u mnie ani siana, ani owsa, podsienie przytem bez dachu, w izbie zimno.

— Ale jest przynajmniej dach nad izbą, to dość i tego, odezwałem się zniecierpliwiony, wszak psa godziło by się puścić do chaty w taką zawiej, a nie dopiero człowieka.

Głos kobiecy zamilkł, nastąpiła długa cisza przerywana tylko długim poświstem wiatru, — czekamy nikt nie myśli drzwi otwierać.

— A co u diaska! piekielnica ta myśli że warownia w której się zamknęła niezdobyta, trzeba szturmu przypuścić, zmusimy imość do układów, powiedział Koziołkowski złażąc z kozła i dobywając drąga, który zawsze woził w bryczce dla bezpieczeństwa.

— A otworzysz ty dzisiaj, dodał, i zaczął nim walić w bramę.

Nie czekaliśmy długo, gospodyni acz rozwścieklona otworzyła wrota, wjechaliśmy pod dach.

— Radzę wam raz jeszcze byście ruszali sobie z Bogiem czy z djabłem, mruczała po kilka razy.

— Ależ szanowna karczmarko, jeżeli nam niegościnne gotujesz przyjęcie, toć pamiętaj że w polu czekało nas jeszcze niegościnniejsze.

Brama się za nami zawarła, rzuciłem okiem po przedsieniu: oświecona latarką wcale przyjemnie wyglądała i dach i ściany nieźle opatrzone były, przy żłobie stało parę osiodłanych koni, dwie zaś

szkapy rosłe i silne stały zaprzężone do wózka niewielkiego.

— O to, nie my tu pierwsi, jak widzę, pewnie *paczkowi panowie* moja gosposiu, to i lepiej, znam ich i w zgodzie z nimi żyję.

— Czy *paczkowi*, czy nie *paczkowi*, nie wasza rzecz, niepotrzebnie tacyście ciekawi, przerwała opryskliwie kobieta.

Trochę niespokojny powlekłem się za nią do izby: pierwsza, jak to w naszych karczmach zwykle bywa zimna, przestronna, pusta, opatrzona w parę zydlów i duży stół dębowy, na którym stała świeczka łojowa, prawie dopalająca się, wetknięta w zaimprowizowany lichtarz z kartofli, dwa okienka tej izby wychodziły na front pomieszkania.

— Tutaj siedź pan, jeżeli tak bardzo chcesz dachu.

— Ależ gospodynio zacna, tu zimno potężne, tu można zmarznąć jak w polu.

— Dalej jednak iść nie można, zawołała głośno, zastępując sobą drzwi do drugiej izby prowadzące.

— Ej to was nawet do miłosierdzia przymuszać potrzeba, powiedziałem zniecierpliwiony, odsuwając ją na stronę.

— Mówię wam nie idźcie, wołała kobieta coraz wszaskliwiej. *(Dokończenie nastąpi).*

Połów Łososi.

Ryby do pokrewieństwa Łososiowatych należące, są zwykle najwięcej cenione i poszukiwane, z powodu smacznego i tłustego mięsa na pokarm. Na główną uwagę zasługuje tu Łosoś właściwy (Salmo Salar), od którego i całe pokrewieństwo wywodzi swe nazwisko. Dochodzi on długości 3 stóp, a w szczękach, w gardle i w paszczy, ma mocne i wygięte zęby, tudzież dwie pletwy grzbietne, z których przednia znajduje się ponad pletwą brzuchową, a druga znacznie mniejsza, ponad pletwą przedogonową.

Łosoś jest właściwie rybą morską i w zimie w morzu też tylko przebywa; dopiero latem podczas tarliska uchodzi do rzek, przeskakując wodospady, zastawy i t. p. zapory, z nadzwyczajną szybkością. Żyje głównie w morzu Północnem, Baltyckiem i Białem; zkąd wpływa dopiero do Elby, Renu, Wisły, Bugu, Sanu, Newy i t. p.

Szczególnie lubi on jasną i czystą wodę, tudzież bystre potoki. Bywa rozmaitej barwy, i w rzekach jest zwykle zielonawo-żółty, na grzbiecie ciemny, na bokach zaś czerwonawocentkowany; w ogóle forma jego piękna, odpowiada zupełnie bystrym ruchom w wodzie. Często bowiem łososie dosięgają nawet wierzchu wodospadu, woda zrzuca je nieraz na dół, ogłusza niekiedy na chwilę, lecz one niezmordowane dalej toczą z nią walkę.

Skoro łosoś dosięgnie wierzchu wodospadu, płynie wtedy ze wszystkich sił i szybko przesuwa się na drugą jego stronę, niknąc od razu z oka. Przy tym skoku, łososie (jak utrzymują niektórzy), skaczą nie z powierzchni wody lecz z głębiny, i wtedy często biją je hakami przyczepionemi na końcu długiego drąga i zgiętemi na podobieństwo haczyka u wędki. W ogóle jednak sposoby łowienia łososi są rozmaite i wszystkie wymagają wielkiej szybkości w działaniu, a przytem odwagi i cierpliwości. Najczęściej zaś, wybierający się na połów łososi w większej ilości, udają się (naturalnie obznajmieni z tem, odważni i zręczni rybacy), na wyprawę zwykle w kilku razem nocną porą, w czasie pogody. Jako za najdogodniejsze miejsce, obierają zawsze na dużej rzece (lub czasami nawet na znacznem jeziorze), małą wysepkę, na którą je wyciągają. Niedaleko od niej, w miejscu gdzie woda nie dosięga zbyt wielkiej głębokosci, stawiają (jak wskazuje załączony na poprzedniej stronie rysunek), dosyć wysokie rusztowanie z drzewa, na wierzch którego wchodzi jeden z rybaków z zapaloną drzazgą, gdy inni tymczasem zarzucając na wodę umyślnie na to sporządzone sieci, oczekują cierpliwie przybycia nader pożądanego gościa. Gdy zaś poznają po ruchach wody, zbliżając się do światła łososie, wtedy ostróżnie zagradzają im odwrót siecią i z wielką uciechą, wraz z pomocnikami stojącemi na wyspie, wyciągają je na ląd. Nieraz atoli bardzo długo, a nawet nadaremnie oczekują zjawienia się tych ostrożnych wędrowców i mieszkańców wody.

Najtłustsze bywają łososie złapane przy ujściach wielkich rzek i brzegach morskich.

Rzeki Szkocji szczególniej jednak są bogate w łososie, i ztądto rozwożą je po całej Europie massami.

Młode łososie wylęgają się na wiosnę i wtedy samiec i samica, przechodząc z morza do wód słodkich, upatrują dogodne miejsce gdzie woda niegłęboka, dla ukrycia młodych na dnie rzek w bruzdach, które ryjąc pyszczkiem, robią. Potem odpływają znów do wody słonej, jakby na zimowe mieszkanie.

Za zjawieniem się w morzu, łososie rosną zadziwiająco, dochodząc nieraz do kilkudziesiąciu funtów wagi. Liczbę jajek łososia, określają na 17 do 18,000. Wogóle łososie żyją nie więcej nad 10 lat.

Oprócz łososia właściwego, inne gatunki do tego samego pokrewieństwa ryb należące, są między innemi: główniejsze: Pstrąg właściwy (Salmo Fario), ciemnozielonego koloru po bokach zaś czerwono nakrapiany, żyje on w czystych i rwących potokach, pośród gór zwłaszcza; tudzież sielawa, w mnóstwie gatunków przebywająca w całej zimniejszej Europie, a u nas w jeziorach Augustowskich się znajdująca i pospolicie sieją zwana.

Mięso ma smaczne, które zwłaszcza po uwędzeniu, jest przedmiotem dosyć znacznego handlu.

Kazimierz Mejer.

Gimnastyka dla rzemieślników.

Zdrowie i siła fizyczna, grają ważną rolę w życiu każdego człowieka, a szczególniej też rzemieślnika, koniecznie własnemi rękoma do pracy przykładać się zmuszonego. Dla wyrobienia tego zdrowia i siły fizycznej jest wiele środków, a pomiędzy niemi gimnastyka bezwątpienia trzyma pierwszeństwo. Życie siedzące, najwięcej niszczy zdrowie i wyczerpuje siły. Ruch jest na to antydotem. A gimnastyka właśnie opiera się na ruchu, wpływając przytem na wzrost siły i wyrobienie się giętkości. Dla wszystkich zatem rzemieślników znużonych bezruchem, gimnastyka jest odpoczynkiem, albowiem jak znużony ruchem znajduje wypoczynek w siedzeniu, lub leżeniu, tak przeciwnie znużony brakiem ruchu, wypoczywa wśród nasilniejszego ruchu. Do liczby takich rzemieślników potrzebujących gimnastycznemi ruchami odżywić się, należą przedewszystkiem: czapnicy, drukarze, jubilerzy i złotnicy, szewcy, krawcy, litografi, pieczętarze, rękawicznicy, rymarze, siodlarze, szmuklerzy, i tapicerzy. Dla tych wszystkich gimnastyka jest połową życia. Dla tych wszystkich projekt pana Majewskiego, obowiązującego się przyjmować rzemieślników do gimnastykowania za opłatą 45 kop. od osoby na kwartał, jest bardzo ponętny, jeżeli tylko wejdzie w wykonanie. Wykonanie to zależy od dobréj woli pp. majstrów i przełożonych zakładów przemysłowych. Oni są opiekunami kształcącej się w ich zakładach młodzieży, oni mają moralny prawny obowią-

zek wykształcić w uczniu zdolnego i dobrego robotnika. A zdolnym i dobrym robotnikiem niebędzie nigdy człowiek zwiędły przy pracy w młodych leciech, zgarbiony przedwcześnie nad warsztatem, osłabiony ciągłem przykuciem do igły, szydła lub kaszty. Młodzież aby się rozwijała, potrzebuje ruchu. Ruch daje jej zdrowie i wesołość, a zdrowie i wesołość ułatwiają naukę. Nie możemy zatem, jak tylko serdecznem słowem i braterską radą zachęcić pp. przełożonych, do posyłania terminatorów na gimnastykę. Koszt trzy złote od ucznia na kwartał jest drobnostką, a terminator oprócz zachowania zdrowia i siły, tę jeszcze odniesie korzyść, iż obracając kilka godzin popołudniowych w Niedzielę na ćwiczenia gimnastyczne, uniknie pokus uczęszczając do odludnych sklepików, kędy za młodu traci zdrowie ciała i duszy, uczy się pić, grać w karty lub w kości i przyzwyczaja się do krzywdzenia kradzieżą lub oszukańswem swych opiekunów i majstrów. Sądzimy że pp. Majstrowie i przełożeni, nie chcieliby, aby ich terminatorowie wpadli na te przepaściste drogi, ale owszem czują to dobrze jaka na nich cięży odpowiedzialność przed Bogiem, społecznością i sumieniem, za wychowanie i wykształcenie młodego pokolenia, które nie karlić umysłowo i fizycznie, ale potężnieć powinno na duchu, umyśle i ciele, aby godnie odpowiedzieć w przyszłości wymaganiom rzemiosła i społeczeństwa.

Aleksander Makowiecki.

KAMFORA.

Żywica znana pod nazwą *Kamfory*, pochodzi głównie z *Lauru kamforowego* (Laurus Camphora). Jest to drzewo należące do rodziny wawrzynowatych, bardzo pospolite w Chinach i Japonji. Jakolwiek kilka innych jeszcze gatunków drzew, rosnących na Borneo, Sumatrze i w innych miejscowościach, dostarczają kamfory, Laur najwięcej daje tego produktu do handlu.

Sposób oddzielenia kamfory z drzewa, jest bardzo prosty. Na Wschodzie gdzie nie mają zwyczaju oszczędzać rąk ani też czasu, skrobią drzewo na drobne wiórki, wrzucają do kotła, zalewają wodą i gotują. Kocioł zaopatrzony jest w pokrywę glinianą, nakształt czapki alembikowej, pod którą urządzone są przegródki ze słomy ryżowej; w miarę gotowania się wody, unoszone z parą cząstki kamfory, osadzają się na słomkach w nieforemnych, szarych kawałkach. Tak otrzymaną kamforę surową czyli nieoczyszczoną, przysyłają z Indji; w europejskich dopiero laboratorjach oczyszcza się zapomocą sublimacji, która się odbywa w zamkniętem naczyniu przy temperaturze $+200^0$. Ztąd wychodzą owe duże, prawie przezroczyste kręgi śnieżnej białości, które widzimy w handlach materjałów aptecznych

Oczyszczanie kamfory bardzo się ułatwia, zwłaszcza przyśpiesza, przez dodanie wapna niegaszonego w proporcji $^1/_{50}$ części. Działanie powyższe, łatwo może się odbywać w kąpieli piaskowej. Jak we wszystkich sublimacjach, tak i tutaj produkt otrzymywany tem jest ściślejszy i lepiej wykształcony, gdy ogień użyty do ogrzewania początkowo wolny i umiarkowany, stopniowo coraz silniejszy, jest utrzymywany bez żadnego przestanku. Jakkolwiek takowe postępowanie wydaje się łatwem do wykonania, pomimo to, tylko biegli i doświadczeni robotnicy należycie go odbywają. Kamfora bowiem jest skłonna do pozostania w stanie sypkości i małej ściśliwości, gdy tymczasem w handlu, pragną ją mieć twardą i przeświecającą. Także w czasie roboty zachodzi niedogodność, że tak wapno jak i surowa kamfora, pryskają i przyczepiają się do krążków już oczyszczonych. Robotnik musi temu zapobiegać pilną bacznością, głównie zaś powinien uważać aby ciepło było jednostajnie rozłożone, a najlepszym do tego środkiem, jest pręcik platynowy spiralnie skręcony, który należy włożyć do oczyszczającej się substancji. Niektórzy chemicy dodają do kamfory w czasie sublimacji oprócz wapna, węgla sproszkowanego jak najmielej, w takiej samej jak ono ilości, to jest w $^1/_{50}$ części, co ma się przyczyniać do doskonałości otrzymanego produktu.

Naturalista francuzki Proust, spostrzegłszy znaczną ilość kamfory w stanie rozpuszczenia w olejkach lotnych, wydobywanych z niektórych hiszpańskich roślin, należących do rodziny *Wargowych* (Labiae), sądził: że kamforę będzie można mieć we wszystkich ciepłych klimatach. Wprawdzie, pozostawiając olejki przez pewien przeciąg czasu w odpowiedniej to jest chłodnej piwnicy, opadną na spód grube kryształy kamfory—sposób ten jednakże tylko na małą skalę może być użyty.

Kamfora rafinowana powinna być bardzo biała, prawie przezroczysta, twarda, krucha, cokolwiek giętka i w dotknięciu nieco tłusta.

Zapach jej jest mocny, przenikliwy, smak ostry i rozgrzewający, używa się w przemyśle i w medycynie, własności ma uśmierzające, ale w istocie zanadto jej skutki przesadzono.

Nadzwyczajna lotność kamfory, w niskiej nawet temperaturze, daje sposobność przedstawienia fenomenu nader zajmującego, z którego może być nawet użytek: drut platynowy, spiralny, ogrzany do temperatury czerwonej, umieszczony po nad kawałkiem kamfory, rozpali się do temperatury białej i pozostanie tak rozpalony, dopóki starczy pod nim kamfory. Tym sposobem, można mieć lampkę nie źle świecącą jakkolwiek bez płomienia.

W wodzie kamfora mało się rozpuszcza, ale natychmiast udziela jej swego smaku i zapachu. Rozpuszcza się we wszystkich olejkach lotnych, mianowicie na ciepło, ale najłatwiej i najprędzej w spirytusie.

Gatunki kamfory z innych roślin pochodzące, mogą być cokolwiek odmienne, atoli główne cechy zawsze je z sobą zbliżają.

Otrzymanie przez niektórych chemików mniemanej *kamfory sztucznej*, polega na przeprowadzeniu gazu chloro-wodorowego przez essencję terpentynową. Lecz daleko jeszcze temu utworowi do posiadania własności kamfory naturalnej, dotychczas pozostaje on w zakresie chemji teoretycznej.

Białodrzew.

ROZMAITOŚCI.

— Wystawa rolnicza. W roku bieżącym mianowicie w miesiącu Wrześniu, odbędzie się w Warszawie wystawa płodów rolniczych i przemysłu rolniczego. Przedmioty mające być przedstawione na Wystawie, rozpadają się na cztery Oddziały. Do 1-go należą płody rolnicze i ogrodnicze z wyjątkiem kwiatów i roslin cieplarnianych, tu więc przypadają rozmaitego gatunku zboża, kartofle, buraki, warzywa, rośliny z których się olej wydobywa np. rzepak, mak, słoneczniki, rośliny do fabryk używane np. chmiel do piwa, szczeć folarska do wyrobu sukna, tytuń i t. p. Do Oddziału 2-go należy wszelkiego rodzaju inwentarz i drób domowy, ryby, jedwabniki, pszczoły, pijawki, runa wełny, skóry niewyrobione i t. p. W 3-im Oddziale pomieszczą się machiny i narzędzia rolnicze, jak młockarnie, sieczkarnie, młynki, arfy, pługi, brony, grabiarki, kosiarki, a także sierpy, kosy, kierźnie, żłoby, lasy dla owiec i t. p. Na 4-ty nakoniec Odział przypadają płody przemysłu rolniczego np. okowita, piwo, cukier, mączka cukrowa, miód, wosk, olej, sery, krochmal, mąka, kasza i t. p. Życzyć należy, aby na wystawę tę, mającą przedstawiać rolnictwo i przemysł rolniczy Królewstwa Polskiego, nadsyłane były jak najliczniejsze okazy.

† *ś. p.* **Józef Sławiński** uczeń Szkoły Głównej zmarł na wycieńczenie sił w dniu 7 Maja r. b. Człowiek to własnej pracy, syn ubogich rodziców, przez siedm lat terminował w różnych warsztatach, ale gnany chęcią do nauk wyższych, wszedł do Szkoły Głównej. Pracował olbrzymio. Gdy był terminatorem, siedział nad książką po całych nocach i dni świąteczne. Zostawszy studentem, dawał lekcje i z tego się utrzymywał i jeszcze zdołał sobie zebrać piękny księgozbiór. Kochał rzemieślników całem sercem i znał ich stan wybornie, przez lat 7 żyjąc między nimi jako ich towarzysz. O ile mógł chciał wpłynąć na polepszenie ich losu. W tym celu pisywał do Gazety Polskiéj artykuły o umoralnieniu i oświacie rzemieślników. Pozostała nawet po nim praca, także o rzemieślnikach, która wkrótce ma być drukowaną w jednem z pism warszawskich.

— **Kawa** jest jak wiadomo napojem, pochodzącym z gotowania ziarnek czyli nasion kawowego krzewu, rosnącego pierwotnie w Arabji i Abissynji. Dziś krzew ten we wszystkich gorących krajach się uprawia i zaraz na drugi rok po rozsadzeniu wydaje owoce. W stanie dzikim dorasta niekiedy 30 stóp wysokości, w uprawianym zaś 5 lub 6 stóp. Kwiaty ma białe, pachnące, liście podobne do laurowych. Owocobranie odbywa się kilka razy do roku, w tym mniej więcej stosunku, że z jednego krzewu otrzymuje się $1\frac{1}{2}$ do pięciu funtów kawy. Ziarnka z początku są czerwonawe, ale wyszuszone i wyłuskane z błonki, przyjmują światło-zielonawą barwę, kawy jest kilka gatunków; najlepszym jest gatunek zwany *Mokka*, koloru blado-żółtawego. O pochodzeniu kawy krąży podanie na Wschodzie, iż własności jej nauczył się pewien ubogi derwisz od kozy, która zjadłszy ziarno kawowe była nadzwyczaj wesołą. Pewniejsze wiadomości podają, że kawę zaczęto używać w Arabji w roku 1450 po Chr. Do Europy kawę wprowadzili Wenecjanie, jak się zdaje w XVI wieku i sprzedawali ją jako lekarstwo. W Paryżu upowszechniła się dopiero roku 1669. Trochę pierwej poznali ją Anglicy. Pierwsza zaś kawiarnia niemiecka została założoną w Wiedniu r. 1685 przez Kulczyckiego Polaka. W Polsce zaczęto jej używać pod koniec XVII wieku, a pierwszą wzmiankę znajdujemy o niej w 1774 r. Ogólna produkcja kawy w $186\frac{1}{2}$ r. wynosła 5,230,000 centnarów.

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



*Pannie *** w Częstocho...* (pieczętującej się różyczką), za łaskawe ocenienie artykułu „Gospodyni" najserdeczniej dziękujemy, co zaś do opinij zawartych w liście Pani, w dowód że je bezwarunkowo podzielamy, pozwolisz Pani, że prawie cały jéj list w zupełności wydrukujemy. Wiele tu jest myśli, które ognistemi głoskami powinnyby się wyryć w sercach naszych siόstr, małżonek, córek i matek.

*Wyjątek z listu panny*** z powodu artykułu „Gospodyni" zamieszczonego w 14 N-rze Opiekuna Domowego.*

Jako całkiem bezstronna, bo niezamężna (ale bez goryczy do świata, gdyż z własnej woli) i niemłoda, a więc z zastanowieniem zapatrująca się na wszystko co się na Bożym świecie dzieje, widziałam wiele małżeństw, a niestety mało takich, gdzieby panowała harmonja jakiej w związkach tak świętych spodziewać się należy.

Zastanawiałam się nieraz gdzie tego przyczyna?—Przyznaję, że najczęściej dopatrzyłam jej w tem, że żony nie są takie, jak ich rzeczony artykuł określa.—Lecz że nie są takie, wina podobno Was samych Szanowni Panowie.

Kobiety teraźniejsze są takie, jakiemi chcecie aby były. Każda matka jak najmocniej pragnie wydać córkę co najrychlej. Każda panna widzi tylko zapewnienie swej przyszłości w zamęźciu, a więc sam interes starać się każe, aby się podobać tym, co są rękojmią téj przyszłości. A nasi kandydaci na małżonków czego żądają? największa część, bądź co bądź pełnej szkatuły.

Jeżeli jest jaki wyjątek rzadki, że niby żeni się z miłości, to co go do przyszłej towarzyszki przywiązuje? Nieraz w te mniej więcej słowa usłyszym sformowaną odpowiedź:

„Pokochałem się szalenie bo ładna, bo młoda, bo się gustownie ubiera" i łączy się taka para, niby z czystej bezinteresownej miłości. Miodowe miesiące, szczęście niesłychane! Ależ później błyskotki ulatują, przychodzą obowiązki, o jakich owa piękna urocza istota wyobrażenia nie ma, a Pan nigdy o nich dawniej niemyślał, więc ani ich wskazać ani ich nauczyć niepotrafi, wié tylko że mu niedobrze, pozna że to z powodu żony i wszystko wtedy zwali na biedne kobiety. A wszakże moj Panie, masz czegoś szukał.

Kobiety słabe istoty, a większej od nich żądacie doskonałości, niż sami posiadacie. Szukając żony, patrzcie na serce, na charakter, na ukształcenie, zasady,—a każda chcąca iść za mąż postara się, aby uzbierać zapas potrzebny na uszczęśliwienie zacnego człowieka.

Matki inne pojęcia dadzą córkom o statnie małżeńskim, bo dziś rzeczywiście uważają się tylko za konsumentki, krwawo nieraz zapracowanego kawałka chleba, mówią: że one na to poszły za mąż, aby mieć wygody, być paniami. To wszystko prawda.

Mąż odpowiedzialny za postępki żony, niechaj ją kocha, szanuję, czci jeżeli tego warta—ale niech nie będzie słaby, niech na głupstwa nie pozwala pod żadnym warunkiem.

Dobra kobieta zrozumie rozsądną perswazję, a zła i głupia niech sobie spazmuje, ale niech męża i dzieci nie gubi, a jeżeli uparta, odjąć jej dotego środki. Ale czy i mężowie często nie są przyczyną nędzy rodziny? Czy Panowie zawsze dopełniacie swoje obowiązki? Owe śniadanka, karteczki, cygarka i t. d. czy i te zwłaszcza przy mniejszych dochodach, nie robią wielkiego uszczerbku i niepokoju w domu.

Więc Szanowny Redaktorze postaraj się i dla panów o verba veritatis, a artykuł powyższy („Gospodyni") jeszcze lepiej trafi do przekonania, bo przekona że idzie o prawdę i słuszność, a nie o uczepienie się do kobiet. Nieraz skargi: oni tylko od nas wszystkiego wymagają, a potrzeba poprawy wspólnej, bo i życie musi być wspólne.

— *Panu A. N. w Łuckim powiecie.* Mandaryn jest urzędnik chiński.

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(W cukierni Lursa.)

— *Hrabia Alfons.* Więc pan możesz mi odstąpić bilet do loży na Żydówkę.

— *Pan Karol.* Mogę za rubli 50. Biletu wszakże z sobą nie mam, ale możemy wsiąść do dorόżki, ztąd nie zbyt daleko.

— *Hr. Alfons.* Dobrze, o cenie potem pogadamy.

(W dorożce).

Hr. Alfons. Ale dokądże jedziemy, jakieś odludne strony.

P. Karol. O wierzę że nieznane, to Ulica Rybaki, otoż i chałupa.

— *Hr. Alfons.* Jakto, więc tu mam dostać bilet?

— *P. Karol.* Tak panie, wejdźmy.

(W ciasnej zimnej wilgotnej izdebce, gdzie w kącie śród najnędzniejszych sprzętów i łachmanów leży schorzała matka i tuli do wyschniętego łona dwoje dzieci).

P. Karol. Matko macie bilet do loży na dzisiejsze widowisko, ten pan dobrze ci za niego zapłaci.

„Nie wadziłoby panie Hrabio, wprzód nim marnować pieniądze na zbytki, zajrzeć niekiedy w te ustronia, gdzie grosz z serca podany, może niekiedy uratować życie bliźniego."

(Powiadają, że pan Hrabia przerażony i nieco zawstydzony, ofiarował biednym rubli sto).

W Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.—Redaktor, Adam Mieczyński.